Nr. 1 (9) WRZESIEŃ 1935. ROK II.

ECHO

PISMO MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

Adres Redakcji: Państwowe Gimnazjum w Bochni.

Od Redakcji.

Dziś rozpoczynamy nowy rok szkolny. Zaczynamy równocześnie nowy okres pracy na różnych polach — według zainteresowań.

Rzuciło się Wam zapewne w oczy, Czytelniczki i Czytelnicy, że na okładce Waszego pisma widnieje napis: „Rok II.". Tym właśnie numerem Redakcja rozpoczyna nowy okres i drugi rok pracy.

Nie potrzebujemy dziś określać programu, (jeżeli wogóle dla pisma szkolnego można programy nakreślać), którego będziemy się trzymali w obecnym roku szkolnym. Wszak z naszemi metodami pracy mogliście się już dotychczas zaznajomić. W każdym razie — podkreślamy to raz jeszcze — będziemy się starali utworzyć z pisma jaknajwiększą arkę wypowiedzenia się, tak aby wszystkie zainteresowania i prądy nurtujące nasze małe społeczeństwo mogły na niej być reprezentowane. Dlatego więc wszelkie konkretne projekty, jakie nam podsuniecie, a o które Was bardzo prosimy, będziemy skrupulatnie rozpatrywali i o ile to będzie możliwe — realizowali.

Pozatem zwracamy się z gorącą prośbą pod adresem wszystkich naszych dotychczasowych współpracowników, aby w dalszym ciągu współpracę z nami kontynuowali, a wszystkie Czytelniczki i Czytelników, którzy jeszcze tego nie uczynili, prosimy o nawiązanie z nami jaknajściślejszego kontaktu.

Czekamy na nowych współpracowników! Pod tem hasłem rozpoczyna „Echo" drugi rok istnienia.

St. F. (Bochnia)

Żółty Krzyż — Andrzeja Struga

I. Tajemnica Renu, II. Bogowie Germanji,
III. Ostatni film Ewy Evard.

Z pośród licznych dzieł starających się przedstawić niezbyt odległą tragedję wojny światowej na plan pierwszy, wysuwa się znakomita epopeja wojenna Andrzeja Struga pt.: „Żółty Krzyż“. Potężny motyw wojny nie pierwszy raz pojawia się w twórczości Struga. Już bowiem w „Kluczu Otchłani“ spostrzegł on szeroki zasięg tego tak zgubnego dla ludzkości żywiołu. Z całej trylogji przebija okrutna groza wojny i jej brzemienna w skutkach następstwa, tak na froncie jak i na dalekiem zapleczu. Liczne i istotne walory Struga jak zwarta kompozycja, znakomity styl, cudowne epizody obfitujące w piękno artystyczne i sytuacyjne oraz „głęboka perspektywa dziejowa i kulturalna“ powodują, że dzieło mimo swej obszerności zniewala czytelnika do śledzenia z zainteresowaniem biegu wypadków i budzi w jego duszy głębokie współczucie dla ludzi pochwyconych w potężny i nielitościwy kierat wojny. — Z grozą wojny spotykamy się już na pierwszych kartkach pierwszego tomu, przy wybuchu miny w okolicy fermy La Routaire. Zwały ziemi przywalają francuskiego kapitana Despoix i niemieckiego porucznika von Senden. Z ponad ziemi sterczą tylko ich głowy i ramiona. Zimna noc listopadowa, pełna deszczu i mokrego śniegu miotanego przez wichur, zadaje im niewypowiedziane katusze. Ludzie ci cierpią straszne męki pogrzebanych żywcem. W inny sposób, aczkolwiek równie tragicznie, ginie niemiecka łódź podwodna U. C. 17, której komendantem był baron Tebben-Jerth, złączony najtragiczniejszemi więzami miłości z swą żoną Ritą, córką wielkiego Wagera, odkrywcy zabójczego „Żółtego Krzyża“. Śmierć Tebben-Gertha kładzie kres życiu Rity, której subtelna dusza nie może przeżyć tak wielkiego ciosu. Kpt. Despaix i por. Senden nie giną na pobojowisku. W obliczu śmierci skona wzajemna rasowa nienawiść, a braterski uścisk dłoni pojedna ich na zawsze. Zostaną odkopani ale nie uratowani, wojna bowiem nie wypuści ich już z swego miażdżącego uścisku, dopóki nie zabije ich w okrutny sposób. Kpt. Clande Despaix — jako wywiadowca francuski — zostaje wysłany do Niemiec, z poleceniem wykrycia sposobu produkcji strasznego „Żółtego Krzyża“. Porucznik von Senden stoi na usługach wywiadu niemieckiego. Trudna ta służba zapędzi ich w otchłań śmierci. Na kontynencie europejskim wszelkie wydarzenia wojenne głośnem echem odbijają się w Paryżu i Berlinie, powodując raz radość, raz smutek. Na froncie Niemcy mają przewagę, ale wewnątrz kraju niewypowiedzianą klęske zadaje im straszny wróg — głód. Piękna Ewa Evard światowej sławy artystka filmowa, bawi w Paryżu. Otacza ją liczne grono wielbicieli, olśnione jej sławą, urodą i sztuką. Na swoje jednak nieszczęście zaczyna się ona interesować wojną i niepotrzebnie dostaje się w jej kościste ręce. Ewa Evard udaje się do Niemiec, by grać główną rolę w propagandowym filmie niemieckim pt. „Bogowie Germanji“, nakręcanym przez wytwórnię, na czele której stoi von Trothen, agent wywiadu koalicyjnego. Jak w Paryżu tak i w Berlinie posiada Eva licznych wielbicieli. Szczególnie miłością do niej pała von Sittenfeld gen. i szef kontrwywiadu niem. Ona jednak bawi się jego miłością nie wiedząc, że życie jej jest w jego ręku. Generał Sittenfeld wpada w furję gdy widzi, że Eva daje pierwszeństwo młodemu bolszewikowi, księciu Uchmatowowi. Sytuacja staje się dla niej tak niebezpieczną, że korzystając z pomocy przyjaciół uchodzi do Szwajcarji, a potem do Francji, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie jej teraz grozi w Paryżu. Samym już bowiem pobytem w Berlinie zraziła sobie opinję publiczną Paryża. Co będzie teraz, kiedy gen. Sittenfeld, chcąc dokonać zemsty wyszle do Paryża szpiclów z oskarżeniem jej, iż działała na szkodę Francji? Na skutek oskarżenia o szpiegostwo zostaje aresztowana. Niewinność swoją mogła była wykazać, gdyby powiedziała sędziom co ją łączyło z gen. Sittenfeldem i co wzbudziło w nim tak wielką wściekłość. Ale Eva Evard była zbyt dumna — zresztą wierzyła w sprawiedliwość sędziów. Zawiodła się jednak srodze. Były to bowiem czasy rządów wszechwładnej ulicy, a ulica głośno i ostro domagała się głowy Evy Evard. Nic więc dziwnego, że sędziowie wydali wyrok skazujący — a światowej sławy artystka Eva Evard ginie od kul plutonu egzekucyjnego. Tak skończyła jedna z ofiar wojny, niepotrzebnie wciągnięta w jej kosmaczy krąg. Kpt. Despaix, jako — reemigrant niemiecki z Ameryki — pod naciskiem Dr. Ossian Helm znalazł dostęp do domu Wagera, stał się jego prawą ręką i rozkochał się w jego córce pięknej Ricie Tebben-Gerth, ginącej z tęskonty za niedającym znaku życia mężem. Pod wpływem miłości do subtelnej Niemki, zapomina o wykradaniu tajemnic Wagera. Na jednym z swych spacerów, spotyka Dr. Helm porucznika von Sendena, wywiadowcę niemieckiego. Von Senden przeczuwając w rzekomym Dr. O. Helmie kapitana

Despaix'a, opowiada mu o swem strasznem przeżyciu koło fermy La Rontoire, kiedy to leżał przywalony ziemią z francuskim kpt. Despaix. Despaix stara się zapanować nad sobą, gdy nagle von Senden mówi: Ty jesteś owym kapitanem francuskim. Zdemeskowany kpt. Despaix nie przeczy, jedynie pyta: Co ze mną zrobisz? Odpowiedź pada nic. I jak wtedy na pobojowisku, tak i teraz po raz drugi splatają się dłonie w długim przyjacielskim uścisku. Widocznie przyjaźń zawarta w obliczu śmierci nie wygasła. Wielki Wager pod wpływem klęsk osobistych i nieszczęść ojczyzny załamuje się psychicznie i popada w chorobę. Mimo próśb gen. Ludendorfa nie może pracować w laboratorjum nad wykryciem nowego gazu. Coraz bardziej zapada na zdrowiu. Zdaje mu się, że czuje zapach własnych gazów trujących. Uspakaja się dopiero wtedy, kiedy Ossiace Helm przynosi mu kostjum ochronny. Wager umiera a Rita topi się w Renie. Po jej śmierci kpt. Despaix pragnie wrócić do Francji i za radą von Sendena zaciąga się na ochotnika do wojska niemieckiego sądząc, że jako uczestnik nocnego patrolu łatwo przedostanie się przez front. Była żona von Sendena, Greta, należąca do kontr-wywiadu niemieckiego, grozi kpt. Despaix zdemaskowaniem. Von Senden chroniąc przyjaciela zabija ją, sam zaś dostaje się do szpitala warjatów. Kpt. Despaix udaje się na front i walczy w szeregach niemieckich. Podczas przekraczania przez front, zostaje przysypany ziemią zawalonego okopu — i kończy swe życie pod stalowem cielskiem czołga. — Oto szkielet dzieła o wybitnie pacyfistycznych tendencjach oddającego z niezwykłą plastyką okrucieństwo i ohydę wojny. Proza polska i w tym wypadku stanęła na wysokości zadania, dając głęboki utwór o ogólnoludzkim **charakterze.**

Karol Granicki (Kraków)

Poezja społeczna

W czasach narastających krzywd społecznych zupełnie zrozumiałą staje się rzeczą, że dzisiejszy poeta staje się nowoczesnym bardem, reprezentującym pewną klasę społeczną i walczącym o dobro tej klasy. I tak być powinno. Staroświeckie hasło „Sztuka dla sztuki" zostało przez samo życie obalone. Na miejsce tego przyszło hasło, rzucone przez młodych poetów, awangardowych podczas ich walk ze Skamandrytami — „Sztuka na ulicę". Hasłem tem chcieli się awangardziści przeciwstawić skamandrytom, głoszącym bezideowość, elektyzm. Jednakowoż „Sztuka" awangardzistów nie mogła wyjść „na ulicę" nie mogła dojść do nas, gdyż nie była to sztuka tych mas (proletarjatu). Młodzi peoci, awangardowi należą w przeważnej części do warstwy jeszcze stosunkowo bogatej t. j. do drobnomieszczaństwa. A pamiętać należy, że „każdy twórca nolens volens wyraża światopogląd pewnej warstwy czy klasy społecznej i widzi otaczający go świat przez szkła tego światopoglądu".

Ale w czasach szalejącego kryzysu drobnomieszczaństwo, które dotychczas balansowało między kapitałem a klasą pracującą, coraz bardziej zaczęło się radykalizować. Samo życie rzuciło most, po którym myślący drobnomieszczanie przechodzić zaczęli na stronę walczącego o lepszy byt proletarjatu. Tak samo było z poezją ludową.

Dotychczasowa poezja wiejska — to poezja wierzb, fujarek, wschodów i zachodów słońca, poezja tak, obca, wsi. Było to chłopomaństwo, nietwórcza stylizacja, robota ziemian, inteligentów i mieszczan, którzy rozezulali się nad „Wieśniaczą dolą, uprawiając jednocześnie apoteozę cierpiętnictwa, a więc stałego upośledzenia i wyzysku". W ostatnich czasach dużo się pod tym względem zmieniło. Rodzi się nowa poezja wsi. A tworzą ją najbardziej uświadomione klasowo warstwy wiejskie.

Na zjeździe młodych pisarzy ludowych, który odbył się niedawno w Krakowie, rzucono myśl stworzenia wspólnej platformy, frontu pisarzy robotniczych i chłopskich. Myśl tę podjęły lewicowe pisma literacko społeczne jak Lewar, Lewytor. Akcja literacka. I być może, że dojdzie do porozumienia „lewicy literackiej" w Polsce. Bo literatura proletarjacka wyszła już z powijaków i znajduje się na drodze ku doskonałości. Ot choćby Kruczkowski, Broniewski. Ale o twórcach i pismach społecznych pomówimy w następnym artykule.

Wacław Józefowski (Kraków)

Do Poetów

Dość już mamy słowików, gwiazd, księżyców, fiole-
tów, fiołków, akcji sentymentu
dość już wzdychań i żalu latarń świateł ulicy
dość seryj dźwięcznych, słów klamrami rytmu
spiętych.
Odrzućcie metafory i słów ornamenty
odrzućcie słowicze śpiewy.
Czas w żelaznych konstrukcjach się piętrzy
liryka odpływa jak mewy
kosmos woła
głosem potężnym największym,...
Jeżeli chcecie znów bałamucić
i gołębie opiewać
wierszami dziewczęta zasmucać
lepiej odejdźcie!
Nam trzeba śpiewać
o walce,
o stali,
o nowym człowieku.
W szumnym chaosie zdarzeń
wyrębywać kwadraty woli
aż czarne biodra miasta płodną się pracą powloką,
i nowy, wspaniały świat, płomienny wieniec rozżarzy,
w auroli świateł, odkryje nam wreszcie... człowieka.

Teodor Lichtig (p. g. Bochnia)

Z dwóch stron przepaści

Młodzież szkolna ma różne i wielostronne zainteresowania, o ile niektóre z nich można wogóle określić tem mianem. Lecz w chaosie tych zainteresowań niema często miejsca dla spraw ważnych a aktualnych. Dotyczy to kwestji młodzieży proletarjackiej i wiejskiej, której młodzież ucząca się za mało stanowczo poświęca uwagi. Jest to rzecz bardzo smutna, jeżeli weźmiemy pod uwagę powody tej dziwnej nieznajomości młodzieży nieuczącej się i tej dziwnej do niej niechęci. Tłumacząc sobie ten smutny objaw dochodzimy do wniosku, że dwa są tego powody: 1-szy, że młodzież szkolna posiadając fałszywą ambicję ucznia szkoły średniej, „mającego kiedyś zająć stanowisko w Państwie kierownicze", odnosi się do dawnego kolegi z ławy powszechnej często z niechęcią, a czasem wprost z pogradą, 2-gi, że sama młodzież czy to proletarjacka miejska, czy też wiejska, odnoszą się nieufnie do swych dawnych kolegów, dziś uczniów szkoły średniej, co zraża często gimnazjalistów, chcących „nawet zniżyć" się do proletarjatu.

Z interpretacji tych dwuch faktów wynika, że

(X+V)n p. g. Bochnia.

*
* *

Niema napewno wśród nas kogoś, ktoby nie cieszył się z wyjazdu na wakacje, choćby ten wyjazd umotywowany był tylko chęcią zmiany otoczenia. Nawet ci, którzy wyjeżdżają do starych ciotek „na wywczasy" odczuwają miły dreszczyk w chwili gdy pociąg odsapnąwszy ciężko rusza, gdy miejsowa stacja znika im z oczu. Często nawet krajobrazy zmieniające się ciągle w prostokątach okien uciekają wtył za nas, nie pobudzającg łębiej naszej świadomości. Świadomość bowiem nasza zaprzątnięta jest wagonami poleceń, pozdrowień, napomnień itd., o których staramy się pamiętać, a które bawią się z nami w „ślepą babkę" ukrywszy się gdzieś za naszemi myślami. A cóż dopiero, jeżeli wyjeżdżamy na obóz o którym myśleliśmy od półrocza, na który tak sumiennie się przygotowaliśmy, szczególnie „z wewnątrz". Poprostu serce zaczyna nam mocniej i częściej uderzać i dostajemy rumieńców.

My wyjeżdżaliśmy do Krempnej *) nocą i dlatego rumieńca widać nie było. Ale były — napewno były — choćby dlatego, że dźwigaliśmy ciężkie walizy.

— — — — — — — — —

Gdy wśród pojęku roztrzęsionych na wozie współcierpiętników i wśród triumfalnego marszu mych własnych kiszek, powiadomionych przez mój własny ustrój nerwowy o możliwości otrzymania czegoś do zjedzenia po 18-godzinnej jeździe aż dwoma środkami lokomocji, ujrzałem nagle za zakrętem miejsce gdzie spędzę 4 tygodnie — zrobiło mi się formalnie słabo, a oczy zasnuły się bielą leżących na

niezorumna jest ta młodzież szkolna, która uważa siebie za coś wartościowszego od swych niedawnych kolegów z ławy szkoł ypowszechnej, zwłaszcza że ci często nawet zdolniejsi nie mieli poprostu warunków materjalnych do pójścia tą samą drogą. Jeeżli chodzi o powód drugi, to nie należy się zrażać przeciwnościami, które stają na przeszkodzie współżyciu z młodzieżą proletarjacką i wiejską. Rozumie się, że współżycie to nie powiedzie się zupełnie, a nawet pogłębi przepaść między obydwoma odłamami młodzieży, jeżeli będziemy uważali swoje postępowanie za „zniżanie" się do proletarjatu.

Dzisiaj przebrzmiewają u nas, a przebrzmiały w innych społeczeństwach przekonania o rzekomo wyższej wartości inteligenta, ustępując demokratycznemu pojęciu obywatela stojącego przy różnych warsztatach twórczej pracy dla Państwa. Dlatego często ocena wartości człowieka z tego stanowiska wychodzi na niekorzyść samolubnego inteligenta.

Wielka wojna wysunęła obok różnych kwestyj natury politycznej, socjalnej i gospodarczej, nową kwestję — kwestję młodzieży przedewszystkiem pracującej lub pracy potrzebującej. Trudne warunki bytu powojennego zmusiły młodzież do myślenia o samej sobie, o swoim losie lub nawet o losie własnych rodzin. Wytworzyła się klasa młodzieży, która domagać się zaczęła pracy od społeczeństwa, od Państwa, dając Państwu jeszcze jeden ważki problem do rozwiązania. Niezwykle ciężkie warunki gospodarcze stanęły na drodze tej pogoni za pracą i młodzież, której początkowo udało się może złapać jakąś pracę stała się obecnie bezrobotną — powiększyła wielkie szeregi bezrobotnych-starszych. Fakt wypierania młodzieży z placówek pracodajnych, zaczynają wykorzystywać partje polityczne dla swoich programów. Młodzież, która żądała bezskutecznie pracy od Państwa idzie na lep tych partyj, które zapowiadają pracę, o ile dojdzie do zrealizowania ich programów. W szczególności psychika młodzieży łaknie idei — a „idee" podsuwają jej różni naganiacze polityczni.

Dlatego więc największym obowiązkiem naszym jest pójść do tej młodzieży proletarjackiej i wiejskiej, ale już bez haseł agitatorskich, lecz z zdrową myślą, która będzie miała na celu wyrobienie z jednostek nieświadomych, łatwowiernie ulegających często gemagogicznym hasłom, zwartej społeczności, konstruktywnego materjału w ustroju państwowym. Będzie to praca pozytywna i przynosząca istotne korzyści Państwu a zarazem wiele wewnętrznego zadowolenia nam samym, kiedy ramię przy ramieniu podążymy do wspólnego celu, któremu na imię — mocarstwowa, wolna od wewnętrznych swarów — **POLSKA.**

O tem, o czem się już tyle razy mówiło...

Słuchaj Julek — powiedział jeden do drugiego— „przejdziemy się dziś do proletarjatu" rozumie się do młodych, pomówimy z nimi, spytamy się co słychać w ich świecie — i podzielimy się tem wszystkiem z czytelnikami „Echa".

I wybraliśmy się.

W powszednim dniu, na rynku w Bochni, kręci się niewiele ludzi, szczególnie zaś mało młodych robotników — bezrobotnych. A chcieliśmy złapać ktoregoś z naszych dawnych kolegów, jeszcze ze szkoły powszechnej. Rozglądamy się, szukamy i znaleźliśmy.

Przywitaliśmy się z jednym.

---

murawie, cudnie złożonych namiotów 6! Na to nie byłem przygotowany. A tu godz. 6 popołudniu.

— — — — — — — — —

— Więc my mamy dopiero urządzać obóz? — pyta obywatela instruktora jeden z kolegów z okropnie ogłupiałą miną.

— No tak! Wykażecie swoją sprawność na tem polu — uśmiecha się ten ostatni — jak mi się zdawało ironicznie. — Żeby go za ten uśmiech!...

— Ale my jesteśmy głodni — poprostu głodni — denerwuje się kolega, przecież...

— Kuchnia będzie może na wieczór gotowa — od was to zależy!

Zakląłem brzydko — uśmiechając się boleśnie ze złości.

— — — — — — — — —

Przez parę następnych dni słyszałem utyskiwania uczestników. Słyszałem je przy robieniu nowych dróg, przy przetaczaniu ciężkich bali, przy kopaniu fundamentów pod stancję („Czy to jest obóz pracy" — Co oni z nami wyprawiają") na lusklorystycznych ogniskach nawet w czasie dyskusyj i pogadanek. Ale gdyby się przypatrzyć jednocześnie twarzom „niezadowolonych", ich oczom śmiejącym się to znów poważnym, ich ruchom szybkim i zdecydowanym, ich postawie Arajowców, musiało się wyczuć konieczną nieszczerość takiego ględzenia. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy tu jednak prawie są zadowoleni, dumni z tego co zdziałali, dumni nawet z zamiarów, które w czyn przyobleką. Ochoczo bawiła się wiara na ogniskach urządzanych w terenie pracy realizacyjnej *) ochoczo też rozmawiała z prezesem Makuchem o pracy dokonanej w swoich śro-

— Ma pan może czas, przejdziemy się na planty — zagadujemy.

— Owszem, mogę się z panami przejść — odpowiada młodzieniec, ubrany w porządny garnitur, wcale niepodobny do tych innych robotników.

Rozpoczęliśmy rozmowę, początkowo na tematy błahe, później...

— Czy pan pracuje — pyta jeden z nas.

— Owszem, jestem z zawodu lakiernikiem, maluję samochody i maszyny, dzisiaj mam wyjątkowo wolne — odpowiada chętnie nasz rozmówca.

— Czy dużo pan zarabia? — pytamy dość zresztą obcesowo.

— Zależy jak, w którym miesiącu. Ale około 300 zł. Zawód mój jest bardzo popłatny.

— A czem się pan zajmuje poza zajęciami zawodowemi — czy należy pan do jakiej organizacji?

— Należę od 4 miesięcy do Z. S. ale prawdę mówiąc byłem dopiero dwa razy w świetlicy, zresztą przypadkowo zupełnie. Nie zajmuje mnie to wcale. Mam z czego żyć, jak panowie widzą, nieźle zarabiam. Co mnie tam obchodzi ta cała organizacja.

— A co pan robi po pracy, wieczorem, czy nie chodzi pan do jakichś lokali partyjnych, nie zajmuje się pan wogóle swoimi kolegami-bezrobotnymi, których niestety jest tak wielu?!

— Eh! co mnie tam obchodzi. Po robocie idę zagrać sobie gdzie w karty, albo do jakiego nocnego lokalu — pracuję przecież w Krakowie. Mam co jeść, to co będę myślał o innych.

Żegnamy się z nim bardzo szybko, aż za szybko, djabli nas biorą. Taki sobek łazi sobie spokojnie, nic go nie obchodzi poza jego tygodniówką — gwiżdże na cały świat. Zdenerwowani dzielimy się spostrzeżeniami o nim.

— Myślałem, że wśród nich przynajmniej istnieje jakaś solidarność. A on mówił, że jego koledzy, myślą zupełnie jak on sam.

— Jak się masz! — woła Julek do jakiegoś obdartusa, kręcącego się z rękami w kieszeniach po plantach i kurzącego cienkiego — chodźno bliżej — opowiedzno nam, co robisz przedpołudniem na plantach, przecież pracowałeś u stolarza.

— I, gdzie masz teraz robotę — odpowiada z miną smutną.

W tej chwili zdaje się nam, że musi być głodny. Jest zupełnie zrezygnowany, a ma dopiero 19 lat.

— Słyszałem, że chodziłeś do T. U. R-u, powiedz nam szczerze w jakim celu — pytamy w dalszym ciągu.

— Też pytanie. Powiedzcie wy mi, gdzie może chodzić bezrobotny, namówili mnie więc chodziłem.

— Dużo was tam chodziło? Coście tam robili?

— Co was to obchodzi? Zresztą T. U. R. już rozwiązali.

Wiele nas trudu kosztowało, zanim mu wytłumaczyliśmy, że przecież nie szpiegujemy, raczej pytamy z czystej ciekawości, współczujemy z nim.

— Co my mamy z waszego współczucia. Nic. Wasi koledzy wstydzą się takiego obszarpańca jak ja — ale przyjdzie na was czas — mówi z głębokim wyrzutem.

Zrobiło się nam dziwnie nieprzyjemnie. Rzeczywiście są tacy wśród naszych kolegów. Ze smutkiem przyznajemy.

Z głębokiej zadumy wyrywa nas jego żółcią tchnący głos:

— U nas jest solidarność. Wśród głodnych. Ci... (brzydko wyraził się o takich jak nasz pierwszy rozmówca) rozumie się, też się nas wstydzą. Oni chodzili do T. U. R-u, ale jak nie mieli roboty. Wtedy krzyczeli na burżujów. O! tych najwięcej nienawidziny.

— — — — — — — — —

Wiadomo, że bieda jest najlepszym nauczycie-

---

dowiskach — smutna natomiast, żegnała licznych gości odwiedzających obóz.

— — — — — — — — —

Każdy realizował własne zainteresowania i to dawało mu największe zadowolenie. Każdy pracował na polu, do którego czuł pociąg, które mu odpowiadało. Pracowali więc jedni w kole świetlicowo-prasowem (prasowe wydawało wcale udatnie „Obozowiaka“, wzięło pierwsze miejsce w konkursie gazetek obozowych) inni w wiejskiem, znowuż inni w P. C. K. sportowem, bibljotecznem i t. d.

Wszędzie zaś z ochotą, z wzajemnem rozumieniem się.

— — — — — — — — —

Przeżywaliśmy i chwile smutne a zarazem podniosłe. Żegnaliśmy serdecznie i z niekłamanem uczuciem — w zapłakany deszczem dzień, jak pisał „Obozowiak“, rodaków z Łotwy, którzy parę dni z nami spędzili. Wiele się tam łez polało i wiele przyrzeczeń samym sobie złożyliśmy...

— — — — — — — — —

A gdy znaleźliśmy się w pociągach rozwożących nas w różne strony Małopolski i Zagłębia Dąbrowskiego, do różnych warsztatów pracy społecznej, czuliśmy zapewne wszyscy, że stężeliśmy w swoich własnych przekonaniach i ramionach.

Wielu czuło, że dobiegło „wieku męskiego pracy społecznej — pracy nad ideałem“.

lem. Ale jest też środkiem w ręku różnych prowodyrów, żerujących na niej.

Smutne to bardzo.

A jak bieda — to do... biednych!

A jak dobrze — to... nie znam cię!

— — — — — — — — —

Przechodzimy obok świetlicy O. M. P. Wstępujemy.

Kierownik, którego zastaliśmy, wita nas bardzo uprzejmie.

— Jesteśmy z redakcji pisma szkolnego „Echo". Prosimy bardzo obywatela o wywiad.

— Ależ proszę bardzo. Służę...

— Ilu członków liczy organizacja w Bochni?

— Przeszło 50 członków, a raczej kandydatów. U nas wstępujący zostaje najpierw kandydatem, następnie kolejno uczestnikiem I, II i III stopnia, później po przeegzaminowaniu członkiem.

— Czy wszyscy członkowie, a raczej kandydaci pracują zawodowo? — pytamy.

— Pracuje tylko 25% — reszta bezrobotna.

— Czy członkowie wstępują do organizacji z pobudek ideowych, czy też z chęci rozrywki w świetlicy — pytamy, obserwując grających w karty kandydatów.

— Są w zespole dwa koła wzorowe po 9-ciu uczestników. Ci rozumieją poco wstąpili. ideowcy. Reszta pod obserwacją.

— Czy uwzględniacie w zespole pracę realizacyjną, czy jedynie zajmujecie się samokształceniem.

— Owszem, pracujemy również realizacyjnie. Uruchomiliśmy obecnie koło prasowe, istnieje koło dramatyczne, śpiewacze itd. Wogóle — porobiliśmy duże postępy w pracy.

Żegnamy się i dziękujemy za wywiad.

Sympatyczny ob. kierownik zaprasza nas do odwiedzania świetlicy i na odprawy.

— Skorzystamy, skorzystamy napewno — a wrażeniami podzielimy się z Czytelnikami „Echa".

Juljan Stasik
Teodor Lichtig

J. K. Wieliczka Gim. pryw. Żeńskie

Kobieta w służbie państwowości polskiej

W dziejach Polski, kobiety zapisały piękną kartę. Emilja Plater, Emilja Szczaniecka, Eliza Orzeszkowa, Narcyza Żmichowska służyły słowem i czynem sprawie narodowej; matki polskie, niby Spartanki, przysposabiały synów do orężnej rozprawy, młode dziewczęta, „siłaczki" brały udział w akcji niepodległościowej, walcząc jako nauczycielki z wynarodowieniem młodego pokolenia. W dobie obecnej, w dobie rozbudowy samodzielnego bytu państwa, kobiecie polskiej przypada oprócz szczytnego zadania strażniczki ogniska domowego i wychowawczyni młodego pokolenia — także obowiązek brania czynnego udziału w życiu społecznem. Kobieta, jako matka i wychowawczyni dzieci, winna wpoić w nie miłość ojczyzny, zapał do pracy społecznej, winna dać im mocne podstawy światopoglądu etycznego i politycznego. Do matki należy stworzenie w domu atmosfery ładu i karności, wykształcenie w dzieciach cnót obywatelskich, przygotowanie do aktywnej roli w życiu państwa. Matka współpracuje ze szkołą w akcji uświadamiania dziecka o jego obowiązkach względem państwa, a swoim udziałem w organizacjach społecznych, oświatowych i innych daje mu przykład pracy dla dobra publicznego. Nietylko jednak pośrednio przez wychowywanie młodego pokolenia, ale i bezpośrednio, w służbie obrony kraju, kobieta zajmuje w państwie stanowisko pierwszorzędnej wagi. W walkach legjonów, na szlaku krwawych zapasów z ciemięzcą, strzelczynie polskie i członkinie Przysposobienia Wojskowego dzielnie wywiązały się ze swych zadań, zyskując niejednokrotnie pochwały z ust Komendanta. Ta dradycja bojowa przetrwała do dnia dzisiejszego. Kobieta polska, należąc do Związku Strzeleckiego, do Przysposobienia Wojskowego, otrzymuje nietylko wychowanie obywatelskie, ale jest także zaprawiana do służby wojskowej. Wykształcenie ogólnowojskowe nabywa pod kierunkiem specjalnych instruktorów, ucząc się władania bronią, zdobywając hart i wytrzymałość fizyczną. Do najważniejszych obowiązków kobiet w czasie wojny należy służba w charakterze pielęgniarek, sanitarjuszek Czerwonego Krzyża. Biorąc udział w akcji ratowniczej, śpieszy kobieta jak anioł miłosierdzia z pomocą rannym obrońcom ojczyzny; potrafi ochronić ludność zagrożonych terenów przed zabójczem działaniem gazów trujących. W zakresie działania kobiety-obywatelki leży także służba wywiadowcza, która odgrywa tak wybitną rolę podczas wojny. Jako łączniczka, która z narażeniem własnego życia przenosi wieści i rozkazy, kobieta oddaje armji jeszcze w ten sposób usługę, że zaopatruje ją jeszcze w środki żywnościowe. W służbie państwowości polskiej jest więc kobieta nietylko założycielką ogniska domowego, wychowawczynią dzieci, ale również czynnym rycerzem, gotowym do spełnienia obowiązku obywatelskiego na froncie walki.

Andrzej Benesz (p. g. Bochnia)

Odwrotna strona medalu pracy społecznej w szkole średniej

Gdy spoglądniemy na ubiegły rok szkolny nasuwa się nam wiele refleksyj. Ponieważ jednak najlepiej uczy się człowiek na swoich błędach, przyjrzyjmy się ubiegłemu rokowi krytycznie. Zwróćmy uwagę na pracę, względnie na wyniki pracy obywatelskiej w tej grupie młodzieży, jaką tworzy gimnazjum. Nasuwają się różne wnioski. Przedewszystkiem na pierwszy plan mimowoli wybija się jedno zagadnienie. Szkoła chce wychować dobrego obywatela — Polaka. Każdy chce takim być, a tymczasem po opuszczeniu szkoły ludzie rozchodzą się w różnych kierunkach, niezawsze zgodnie z ideami, które starała się im wskazać szkoła. Jest to wynikiem pewnej dysharmonji, panującej w środowisku, w jakiem się wychowujemy. Jak tę dysharmonję rozumieć? Na nasze środowisko wychowawcze składa się dom i szkoła. Nurtują w nich różne prądy. Dom odnosi się do kierunku, jaki pragnie dać szkoła zwykle nieprzychylnie. Rozumiemy, że nie można kłaść tego tylko na karb piętna niewoli, a więc na karb psychiki niewolnika w stosunku do władzy. Musimy przyjąć, że członkowie starszego społeczeństwa tęskniąc do wolnej Polski wyśnili ją sobie także na swój sposób. To też gdy dziś marzenia te w wolnej ojczyźnie nie doznały zupełnej realizacji, czują ci ludzie pewien zawód. Ich podejście do zagadnień współczesnej rzeczywistości niezawsze zgadza się z naszemi i reszty społeczeństwa poglądami. Ale nie możemy ich zupełnie potępiać, bo jednak wypływają one bardzo często z głębokich, choć spóźnionych lub nierealnych pobudek ideowych. Jeżeli staniemy na tem stanowisku, będzie wobec tego zupełnie zrozumiałem, że jeżeli chodzi o problem najbardziej rodziców obchodzący, tj. o sprawę wychowania ich dzieci, ci i owi stają wobec poczynań szkoły w opozycji, zwłaszcza, że wychowani w starej szkole, mimo najlepszych chęci, nie mogąc zęsto wczuć się w obecnie stosowane metody wychowawcze. Z analogicznych powodów istnieją i wśród wychowaców sprzeczne kierunki, co tutaj prawdzie nie tak jaskrawo rzuca się nam w oczy, niemniej jednak często odczuć się daje silnie, a czasem dość dotkliwie. Nic też dziwnego, że w chaosie tych kierunków trudno, a szczególnie młodemu człowiekowi o niezbyt skrystalizowanych jeszcze poglądach, wyrobić sobie zwarty pogląd na świat i konsekwentną postawę wobec życia. A teraz coś o nas samych. Przyglądnijmy się sprawozdaniu rocznemu zakładu. W zakładzie jest czterystu kilkudziesięciu uczniów. Wymienionych w sprawozdaniach z życia organizacyj jest 29-ciu. Z tych nazwiska ośmiu powtarzają się ciągle. Pierwsze z tych ośmiu powtarza się 9 razy, drugie 6 i t. d. Nie można przecież uważać tego za objaw normalny. Jakiż ostateczny wniosek? Na kilkuset uczniów kilku pracuje, kilkunastu gada, a reszta niczem się zgoła nie interesuje. Nawet ten przykład z wielu innych nie ilustruje dokładnie stanu pracy społecznej w środowiskach szkolnych. Weźmy pod uwagę tę pierwszą grupę. Właściwie całokształt wyników pracy społecznej zakładu, to efekt ich wysiłku. Praca jednak tych paru jednostek, jest nieuniknionem złem wychowania masowego, lecz tego już szkoła uniknąć nie może. Nie po-

Zet-ka (Bochnia)

Dobra nasza ta naftusia...

Każdy musi wiedzieć, że naftusia to znaczy Raba, zwykła, mokra woda, a przecież tak dobra. Każdy również wie, że staraniem L. M. K. postawiona została przystań, która stała się przybytkiem sportu pływackiego i wioślarskiego. Jak wielkie znaczenie ma ten sport, to świadczyć może wysiłek towarzystw sportowych w celu udostępnienia każdemu możności nauczenia się pływania. Większość z nas tak przyzwyczaiła się do Raby, że bez niej żyjemy jak: „Rybka bez wody“ czy też „Mahomet bez brody“. Są stali zwolennicy pływania, którym wartoby dać medal za propagandę Raby. Pławi się to bractwo cały dzień we wodzie, krając wodę rękami i nogami. Ten pływa na wznak, inny moczy twarz w wodzie ćwicząc crawl'a, inni znowu skaczą do wody jaskółki, koziołki, bomby tłukąc głową w niewinny piasek na dnie. Tu na brzegu jedno towarzystwo zagrywa w piłkę nożną, drugie w siatkówkę, a trzecie przeprowadza kurację dotłuszczającą grając w bridge'a. Wszystkie możliwe sporty od pływania począwszy, a na opalaniu i łapaniu ryb skończywszy są tu uprawiane. Mimo tego, że przecież Raba to przybytek sportu, to jednak kwitnie tu „nauka“. Widać wiele „osób“, które wolą dowiedzieć się, czy Szerlok Holmes złapał Arsena Lupina, czy też nie, czy Krwawa Ręka ubrał (te, te, zabrał do niewoli) Skórzaną Pończochę i czy Czarny Kruk chwycił Lotnego Sokoła za Sępi Dziób. Może to było inaczej,

siada na to środków i sposobów. Wybijają się tylko jednostki, reszta pozostaje bierną i bezkształtną masą. O tę resztę właśnie, powinni dbać ci koledzy, którzy są świadomi obowiązków społecznych. Ci powinni się stać organizatorami pracy samowychowawczej. Ale to nie wystarcza. Muszą umieć podejść do środowiska, jeśli nie chcą, by wysiłek ich poszedł na marne. Tylko licząc się ze wszystkiemi temi okolicznościami, możemy dojść do realnych wyników. Nie znaczy to jednak, aby gubiąc się w imaginowanych często przeciwnościach, marzyć jedynie o czynie, zamiast go dokonywać. Mówiłem o tem wszystkiem tylko dlatego, aby uprzedzić tych, którzy zabierają się do pracy nieświadomi mogących wyniknąć trudności i zrażających się przy lada okazji. Moim zdaniem nie można zrezygnować ze swoich zamiarów, dlatego tylko, że istnieje plejada przypuszczalnych objekcyj. Właśnie dlatego, że jesteśmy młodzi, mamy prawo wierzyć w swoje siły, a przecież cały urok życia polega właśnie na przezwyciężaniu trudności.

J. K. — Państwowe Gimnazjum Męskie — Wieliczka

Jak to było na kursie szybowcowym

(urywki ze wspomnień uczestnika)

...Wreszcie w obozie. Tak długo oczekiwana chwila już przyszła. No — teraz już chyba ziszczą się moje najśmielsze marzenia. Mają się zacząć moje pierwsze kroki na polu lotnictwa. Marzyłem oddawna o tem, bo komóżby się nie podobało fruwać nad polską łąką lub polskiem rodzinnem miasteczkiem — być podobnym do ptaka, który może latać wśród odmętów powietrznych, gdzie mu się podoba i spoglądać na wszystko i wszystkich zgóry.

No — ale już dość tych rozmyślań — trzeba spać,. Jutro pierwsze zapoznanie się ze sztuką latania, a muszę być wypoczęty.

— — — — — — — — —

Narazie idzie jak z płatka. Już trzy dni minęły, a latać nam jeszcze nie dali, tylko nas wykiwali na tej wstrętnej szubienicy aż do znudzenia. Jutro będzie nagroda za to wszystko — będziemy latać.

Obudziłem się wcześnie, bo wszyscy jeszcze spali i nie odtrąbiono pobudki, a nie mogłem się tej chwili doczekać. Kiedy już wszyscy byli na nogach, odbyła się zbiórka i wio na szybowisko, które znajduje się niedaleko obozu nad brzegiem Popradu. Teren jest niezbyt dobry, ale, jak się wyrazili instruktorzy, doskonały do lądowania na dachach domów, ponieważ obok znajduje się malownicza wioska, mająca wiele dogodnych do tego celu strzech. Nie przesądzili, bo jak się okazało, kilku kolegów poszło za ich hasłem, ale szczęśliwie rozbili szybowiec i siebie nieco zranili. Ale to głupstwo.

A teraz przypomnę sobie mój pierwszy lot. Kiedy przybyliśmy na szybowisko, na maszcie wywieszono flagę państwową, która wskazywała kierunek wiatru; następnie na własnych barkach wynieśliśmy na wzgórze kilka „wron" (tak się nazywa szybowiec typu szkolnego). Przygotowano amortyzatory (są to grube gumowe liny, służące do wyrzucania szybowca). Wbito pal żelazny i rozpoczęto

nie wiem, czytałem to zbyt dawno. Byłoby tu świetnie, gdyby nie kanikuła, do stu tysięcy ziół (ziolo holus, eris', holera — neutrum, łać.).

Święta i dorzynki

Ostatnie wakacje, to cały zbiór świąt. Zacznijmy od początku. 29 czerwca w całym kraju święciliśmy dzień morza. Święto to, niewątpliwie uświęcił każdy Polak, bo wie ile daje Polsce ten skrawek wybrzeża i morze. Niestety u nas w Bochni lało, lało ordynarnie. Przełożono więc to święto na następną niedzielę, ale i w tą lało.

Z tego też powodu odłożono znowu tę uroczystość na pierwszego września. Oby tylko znowu nie lało, bo zdaje się, że święcilibyśmy ten dzień dopiero w roku następnym. Jednak powinniśmy byli ten dzień morza uświęcić 29 czerwca. Cóż z tego, że lało? Przecież my, szarzy ludzie, musimy przynajmniej mieć wyobrażenie o morzu, a dać je nam mogą tylko potoki dżdżu lejącego z nieba. Ten to deszcz winniśmy łapać do flaszek, czy też garnków i czcić przez cały rok, aż do następnego święta morza.

Co do święta harcerstwa polskiego, to niema o czem pisać, bo wszyscy wiedzą o niem z gazet, ale zato podczas zlotu w Spale, odbyło się wielkie święto w Łapczycy. Tam urządzono, wraz z odpustem, święto dorzynek. Święto dorzynek, to wspaniały turniej mieszkańców Łapczycy z mieszkańcami wsi pobliskich. Skutek dorzynek nie dał długo na siebie czekać: pięciu uczestników święta odwieziono do szpitala, a coś z dziesięciu, po nałożeniu opatrunku, odesłano za kratki. To jest święto dorzynek.

loty. Nareszcie przyszła na mnie kolej. Usiadłem na siedzeniu, ująłem drążek sterowy i czekam, aż powtórzy się ta sama scena, co przy poprzednich lotach moich kolegów. Instruktor polecił mi wykonać lot zupełnie prosty. Następnie uchwyciwszy za skrzydło mojej „wrony“ rzucał takie słowa porozumiewawcze:

ogon gotów? odpowiedziano: gotów

pilot gotów? odpowiedziałem ze strachem ale odważnie: gotów — naciągać! raz, dwa, trzy, biegiem — aż wreszcie: — puść!

Porwało mnie i już jestem w powietrzu, ale to nie trwało zbyt długo, bo zaledwie naliczono do ośmiu, chociaż mi się wydawała ta chwila bardzo długą. Byłem zachwycony i myślę: „O ile dalej tak pójdzie, to będę latał chyba najlepiej ze wszystkich. Nie dam się im“.

W tym dniu wykonałem jeszcze dwa loty, które udały się doskonale, gdy polatam jeszcze ze trzy tygodnie, to będę fruwał jak ptaszek.

Dziś zdarzył się paskudny wypadek. Nie zapowiadał się wcale groźnie, ale potem okazało się że jeden z nas przez nieszczęśliwy wypadek nie ukończy kursu i straci wakacje. A było to tak:

Bardzo zapalony „pilot“ — nasz kolega — siadł na szybowiec a instruktor widząc doświadczeńszego, kazał mu dać większy naciąg i szybowiec wyleciał wysoko w powietrze. Wtedy instruktor kazał mu pikować (zniżyć się wdół do lądowania), bo poryw wiatru mógłby mu odebrać równowagę. Lądując normalnie zupełnie, ale z powodu szybkości ostro, kolega ów położywszy już „wronę“ na lewy bok, wyleciał nagle (jak się później okazało, pas urwał się) na lewą rękę i głowę. Podbiegliśmy doń, patrząc, czy mu się co nie stało, a ten mówi: — Bolek, naciągnij mi tę rękę, bo zdaje się, zwichnąłem ją — taka trochę skrzywiona. Przyleciał doktor — rozpoznał złamanie i chciał robić zastrzyki na uspokojenie, ale ten śmiał się jeszcze, jak prawdziwy junak. Zasmucił się dopiero wtedy, kiedy mu powiedziano, że będzie latać mógł dopiero na przyszły rok. Nie miał zamiaru zrezygnować.

Minęły trzy tygodnie. Latamy już ze szczytu z góry, a wysokość jej ponad teren lądowania wynosi przeszło 100 metrów. Zdołałem odbyć loty do kategorji A, następnie wykręcić kilka wirażów — osiągnąłem kategorje B — a C już nie można było w Starym Sączu osiągnąć spowodu niedostatecznych warunków i braku szybowców kadłubowych typu „czajka“ albo „komar“.

Ostatnia niedziela — loty pokazowe — a najlepsi wyjadą na kurs o kategorję C do Ustjanowej. Wiara kręci wiraże, stara się, ale wszystko na nic, bo wiatr nie sprzyja; coraz częściej ktoś ląduje na stodole lub na drzewie — na szczęście nieszkodliwie.

Kurs zakończono i ja zostałem przy kategorji B (duma moja została chwilowo obrażona). Na przyszły rok zrobię chyba kategorję C. Mojem marzeniem największem jest znaleźć się kiedyś w gronie asów lotniczych naszego państwa.

Następnem świętem było święto gór w Zakopanem. W dniu, w którym urządzano wycieczkę na Giewont, sejsmografy w Indiach zanotowały wstrząs ziemi. To nasi „górale“ z Bochni maszerowali na szczyt śpiewając:

Hej, idę w las, piórko mi się migoce,
Hej, idę w las, dudni ziemia kiej krocę.
Hej!!!

Wreszcie ostatnie święto — święto konia. Na ten temat pisali już p. p. Jalu Kurek i Zygmunt Nowakowski. Nie wiem tylko kto wypił ten kon...iak, który miał postawić p. Nowakowski i czy wogóle go postawił. I jeszcze jedno. Ludzie, nie obrażajcie naszych koni i nie mówcie do drugich: „Ty stary koniu“. Stary koń powinien iść na szmelc. Mówcie lepiej: „Ty źrebaku“, wtenczas i konie będą miały przyszłość przed sobą i ludzie.

DZIAŁ HARCERSKI

Pod Redakcją Stanisława Stanka.

Coś ze Spały

Zbiórka podobozu... Wystrojona „na ostatni guzik“ wiara, sformowana w ósemki kroczy szeroką ulicą zlotowego miasta.

Drużyna za drużyną ze śpiewem na ustach wchodzi na wielki stadjon, który dziś ma gościć 30 tys. harcerzy, harcerek, gości z zagranicy, byłych harcerzy i całe rzesze publiczności, pragnącej być świadkami potężnej rewji.

Dzień otwarcia Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego wypadł naprawdę imponująco. Na olbrzymi stadjon, ustrojony flagami państw, których reprezentacje są na zlocie, wysypują się drużyny, hufce, chorągwie harcerek i harcerzy. Jakżesz pięknie wygląda teraz boisko falujące morzem kolorów. Obok podobozów harcerzy stają harcerki, dalej reprezentacje harcerstwa polskiego z zagranicy, aż wreszcie „wynalazek“ polskich instruktorów — zuchy.

Niewidać jeszcze skautów z zagranicy, ale ci nie dają na siebie czekać. Wkrótce przy dźwiękach „rakoczego“ wkraczają goście podobozu krakowskiego, czarni, opaleni Węgrzy.

Sztandary ich o barwach narodowych mocno falują w podmuchach wiatru, a oni sami raz po raz wydają okrzyki na cześć Polski. Oczywiście rzesza harcerzy nie pozostaje dłużna. Z młodych serc har-

cerskich wyrywa się potężny okrzyk: „Eljen, eljen Magyar Orszag!!“

Entuzjazm nie do opisania. Jakby na komendę wyfruwają w powietrze kapelusze i czapki. Zdaje się, że tłum harcerzy przerwie i zmiesza szyki i skoczy witać Węgrów, ale sygnały srebrnych fanfar przywołują wszystkich do spokoju.

Nadchodzą liczne reprezentacje Rumunów, Czechów, nie brak tu w tłumie Francuzów, Belgów, Łotyszów, Szwedów, Duńczyków a nawet Szkotów, których barwne, plisowane spódniczki są przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Szczególnie harcerki lubią przestawać ze Szkotami i kokietują ich spódniczki. Rzesza fotografów-amatorów goni z aparatami i „trzaska“ co się da. Szczególne powodzenie miały urocze Łotyszki i Szwedki.

Gęsto rozstawione megafony zwiastują zbliżanie się p. Prezydenta R. P.

Wkrótce przy dźwiękach hymnu państwowego zajeżdża wolno auto dostojnego Protektora. Po powitaniu i przemówieniu p. Ministra Zyndram-Kościałkowskiego, przewodniczący komitetu organizacyjnego Jub. Zlotu Harc., ks. prałat Humpola rozpoczyna celebrować mszę św. na ołtarzu polowym, zbudowanym przez krakowskich harcerzy. Tymczasem potężne chmury zasłaniają niebo Podczas podniesienia otworzyły się źródła niebieskie i na rozmodlone rzesze lunął rzęsisty deszcz; karne jednak szeregi stoją nadal bez ruchu. Po skończonej mszy i kazaniu następuje otwarcie wystawy, w której zestawiono cały 25-letni dorobek pracy harcerskiej.

Za chwilę dźwięk fanfar rozpoczyna defiladę. Idzie na wstępie duży oddział byłych harcerzy. Prowadzi ich jeden z twórców harcerstwa, obecny inspektor armji gen. dyw. Norwid-Neugebauer, dalej widać kilku generałów, rzesze oficerów i innych ludzi, piastujących dziś wysokie stanowiska. Idą weseli, roześmiani, jak ongiś szli na harce przed 25 laty.

Rusza zagranica... Postępują ze swemi sztandarami Węgrzy, Czesi, Rumuni, Łotysze i inni. Wiwaty nie ustają. Wiwatują harcerze a także i publiczność, dokumentując, że tu na zlocie jest miejsce tylko na serdeczną przyjaźń. Defilują harcerki, a wkońcu harcerze. Płyną rzesze harcerzy lądowych, widać mundury drużyn żeglarskich, a wysoko nad nami, bezszelestnie fruwa harcerski szybowiec, holowany przez samolot. Tak podczas tej potężnej defilady harcerstwo melduje swemu Protektorowi, że rozwija się nietylko na lądzie, ale i na morzu, a także opanowało powietrzne szlaki.

Komunikat.

Reprezentacja II. drużyny harcerzy im. T. Kościuszki w Bochni w składzie:d h. dh. Stanek St., Ferenc S. i Pacuła W. udała się dnia 8 sierpnia b. r. pieszo z Bochni z ziemią bocheńską na Sowiniec. Ziemię pobraną z pod pomnika Kr. Kazimierza Wielkiego w Bochni przeniesiono w ozdobnej urnie, wykonanej w całości z soli bocheńskiej.

Urnę wykonał p. Samek Feliks.

Kącik filatelisty.

Jednem z zadań, jakie sobie nasza gazeta postawiła, jest grupowanie różnych zainteresowań jej czytelników. Nie można więc pominąć filatelistyki, która przecież cieszy się pośród nas, tak wielką popularnością. tem więcej, że w bieżącym roku szkolnym, ma się na terenie gimnazjum zawiązać kółko filatelistyczne. W kąciku tym pragniemy dać możność jaknajswobodniejszego wypowiadania się naszym filatelistom, jak również otwieramy dla nich „skrzynkę zapytań i odpowiedzi“. Pytania, na które redakcja z całą chęcią będzie odpowiadała na łamach gazetki — prosimy składać na ręce kol. Benesza. Ponadto zwracamy się do wszystkich naszych filatelistów z prośbą o artykuły z tej dziedziny.

Redakcja.

A. B. (p. g. Bochnia)

Coś o filatelistyce

Dawno już minęły te czasy, kiedy na kolekcjonowanie znaczków pocztowych patrzono się jak na dziecinną zabawę, a miłośników filatelistyki uważano za zresztą nieszkodliwych manjaków. Dzisiaj znaczenie tego małego kawałka papieru, jakim jest znaczek pocztowy, wysuwa się daleko poza ramy materjalnej jego wartości. Dzisiaj zaczynają już ludzie rozumieć, że znaczek świadczy nietylko o opłacie pocztowej, nietylko jest przedmiotem zainteresowań filatelistów, ale że jest także przewodnikiem kultury i oświaty, łącznikiem stosunków handlowych i cywilizacji wszechświatowej. Znaczek mówi dziś o wypadkach historycznych, o guście narodów, o fizjognomji politycznej i ekonomicznej państw. Więc uczy świetnie geografji, historji, zaznajamia ze stosunkami politycznemi i t. d. Ogromne znaczenie propagandowe jakie posiada znaczek pocztowy zrozumiały doskonale Sowiety, posługując się nim, jako pewnego ro-

tylko dociera szybko do najdalszych zakątków świata i mimowoli rzuca się w oczy, lecz także nie podlega żadnej cenzurze, a tem samem i konfiskacie. A wreszcie kolekcjonowanie znaczków stwarza jeszcze jedną platformę, na której może — i rozwija się świetnie, pewnego rodzaju współżycie międzynarodowe. Obecnie filatelistyka, z dawnego bezplanowego gromadzenia znaczków i wklejania ich do zeszytów wyrosła w obszerną gałąź wiedzy, zdobywając coraz to liczniejsze rzesze gorących zwolenników. Posiada obecnie bardzo obszerną literaturę, masę podręczników, czasopism i katalogów wychodzących prawie we wszystkich językach świata, dalej laboratorja i specjalne pracownie naukowe. Powołuje ona do życia liczne międzynarodowe związki, kongresy, wystawy, konkursy. — Niektóre zbiory znaczków posiadają tak wielką wartość, że są strzeżone przez specjalnych detektywów, posiadają swoich agentów, a nawet własne kroniki sensacyjne. Filatelistyka obecnie stanowi nietylko przedmiot zainteresowań bardzo wielu ludzi, lecz także jest źródłem poważnych dochodów wielkich firm. Największe zbiory znaczków znajdują się w posiadaniu zbieraczy amerykańskich. Największym zbiorem europejskim jest zbiór króla angielskiego Jerzego V-go, obecnie własność księcia Kentu, który otrzymał go jako upominek ślubny od ojca. Jeśli chodzi teraz o rozwój i obecny stan filatelistyki polskiej, to jest to tak obszerny materjał, że chciałbym, aby został omówiony w osobnym artykule.

Koleżanko G. Munianko, czekam na Jej artykuł.

Ze sportu

Kraków-Bochnia 2:1 (1:0)

Reprezentacja A-klasy krakowskiej odniosła ładne zwycięstwo nad Bochnią, którą reprezentował B. K. S. występując z kilkoma rezerwowymi. Kraków górował nad Bochnią techniką oraz grą bardziej fair. Początkowe minuty gry należą do drużyny bocheńskiej, która silnie atakowała. Kraków jednak bez efektu cyfrowego. Następnie Kraków uzyskał przewagę i strzelił do pauzy jedną bramkę przez Boligłowę, nie bez winy bramkarza miejscowych. Po pauzie gra wyrównana, z lekką przewagą Krakowa, jednak Bochnia wyrównuje ze strzału Litwinka. Bramkę tę ma na sumieniu bramkarz krakowski Mytnik, który mając piłkę w rękach wepchnął ją do siatki. Kraków uzyskuje jeszcze do końca gry bramkę z ładnego strzału prawoskrzydłowego. W drużynie krakowskiej na wyróżnienie zasługuje Piątek, w bocheńskiej Żaba K.

J. F.

Odpowiedzi Redakcji.

Bolesław Nosalski — P. G. Bochnia: Z artykułu o Mochnackim skorzystamy w numerze listopadowym. Prosimy o dalsze prace.

J. K. Gimn. Pryw. Wieliczka: Koleżanko! Po przeczytaniu Waszych wierszy rozważałem dość długo, czy Koleżanka może kiedyś zrobić karjerę jako poetka, i doszedłem do wniosku, że niestety... Radzę zaprzestać klecenia wierszy. Artykułu o tragiźmie w „Warszawiance“ nie zamieścimy, gdyż z reguły nie przyjmujemy tematów z zadań szkolnych. **Glis garrulus.**

W redagowaniu numeru pomagał kol. *Z. Walaciński* z Krakowa, za co mu serdecznie dziękujemy *Redakcja.*

Opiekunowie Komitetu Redakcyjnego: *Dr. O. Wiciński i Prof. Dr. H. Milczanowski.*
Redaktor odpowiedzialny: *Teodor Lichtig.*

Komitet Redakcyjny: Munianka Janina, Stasiakówna Olga, Spisakówna A., Wojtowiczónwa Z., Klejdys Juljusz, Stankiewicz Bogusław, Benesz Andrzej, Stasik Juljan. — Administracja: Ferber Artur.

Drukarnia Literacka, Kraków Plac Zgody 4.